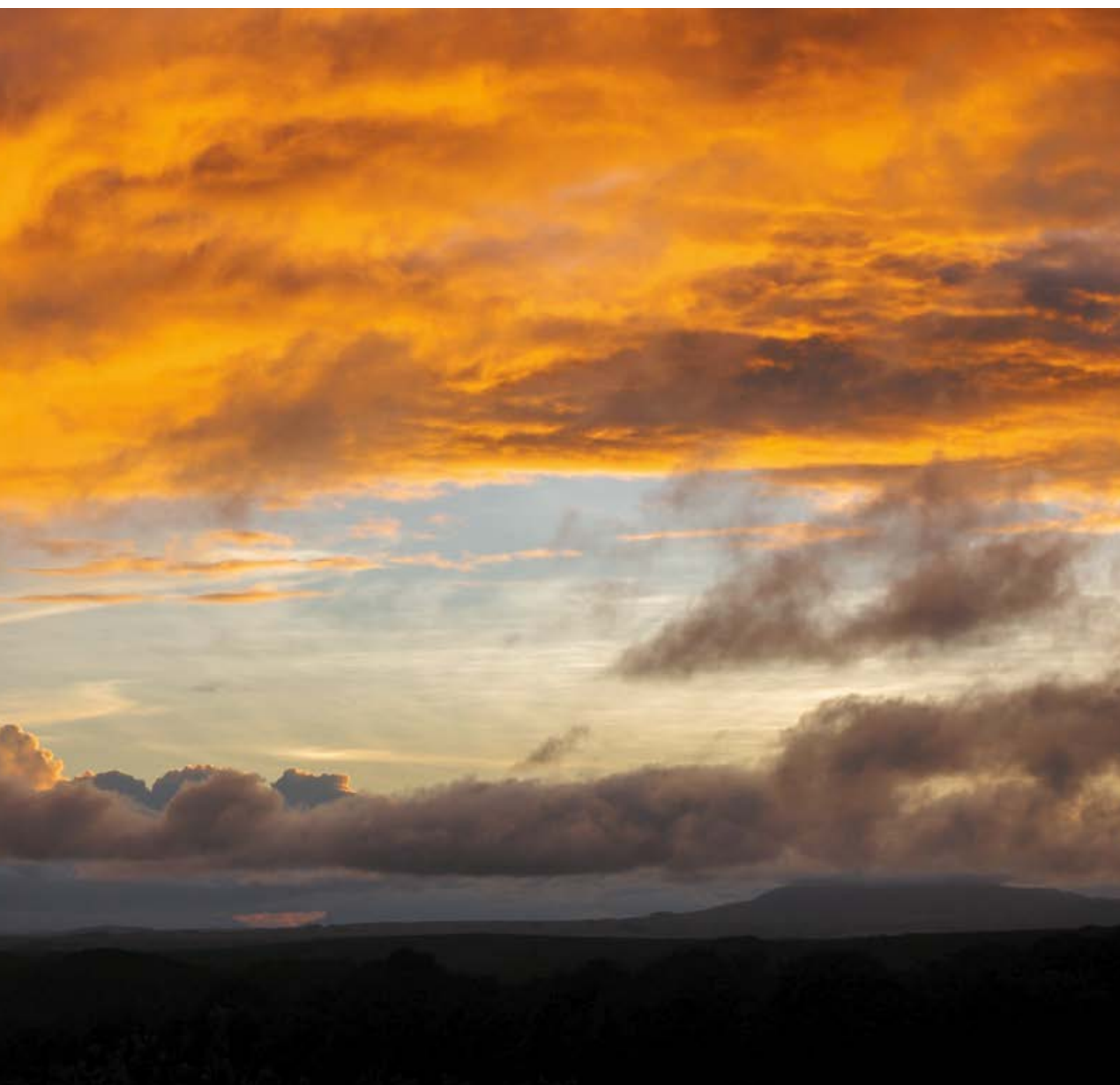


Wojciech Ganczarek

Upały, mango i ropa naftowa



Tekst i zdjęcia: Wojciech Ganczarek

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Redakcja: Aurelia Hołubowska

Korekta: Mariusz Miodek

Projekt graficzny i skład: Dawid Kwoka

Mapa na okładce: Magdalena Krocak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?beupam>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-3248-5

Copyright © Wojciech Ganczarek, 2017

Copyright © Helion, 2017

Wojciech Ganczarek

Upały, mango i ropa naftowa

Kup książkę

Poleć książkę



Bezdroża

Spis treści

Przedmowa	5
Część I. Rewolucja	9
Plamka ropy	9
Dolary	15
Cztery rolki papieru	21
Nędznicy	26
Wywiad: Rada wspólnoty, czyli demokracja bezpośrednia po wenezuelsku	34
Nauczyciel	44
Służba	56
Wakacje	61
Państwowa kultura alternatywna	68
Miasto w liczbie mnogiej	71
Najniebezpieczniejsza stolica świata	81
Matka Boska od kałasznikowów	90
Mleko w proszku	98
Brak mleka w proszku	102
Mleko w proszku według Hugo Cháveza	110
Wywiad: Robić interesy w Wenezueli	119
Część II. Dusza	133
Wyjechać i wrócić	133
Rodowita Wenezuelka	135
Matki, kochanki, rzadziej żony	140
Wenezuelczyk się nie smuci	152

Łańcuszek szczęścia	163
Boże Narodzenie	165
Anioły śmierdzą potem i żrą kielbasę	177
Bieda z nędzą	186
Bogactwo i obfitość	191
Wywiad: Dojście do władzy w kraju o największych rezerwach ropy naftowej na świecie albo: jak z konsumpcjonisty zrobić komunistę	197
Część III. Przestrzeń	225
Gran Sabana	225
Betonowy pomnik z siedemdziesiątego trzeciego	239
Złote miasta	241
Kołaczcie, a otworzą wam	248
Upały, mango i ropa naftowa	252
Polowanie na krokodyla	254
Santa Rosalia	260
Morichalito	263
Złota wolność	274
Drogą jest Chrystus, a Chrystus jest z Chávezem	282
Część IV. Podjazdy	297
W górach jestem szczęśliwy	297
Cwaniaki	305
Anioły stróże	319
Mérida	326
Wywiad: Przeżyć protesty	337
Wsi spokojna, wsi wesoła	356
Mango z marakują	366
Ostatni żart w Wenezueli	375
Epilog	383

Kup książkę

Poleć książkę

Część I

REWOLUCJA

Plamka ropy

Kolumbijskie Centrum Pomocy Migrantom i Uchodźcom zajmuje okazały, dwupiętrowy budynek na jednej z ulic odchodzących od głównej trasy prowadzącej do granicy z Wenezuelą w Paraguachón. Zacienione przez mangowce patio okala trzymetrowy mur z żelazną bramą dla samochodów i żelazną bramką dla niezmotoryzowanych. Juana, na oko trzydziestoletnia gospodyni domu, siedzi przed wejściem na plastikowym taborecie. Zawsze z kimś rozmawia albo przytula któregoś z dzieciaków. Małuchów jest pełno, bo w budynku organizuje się lekcje muzyki i angielskiego. I ostatecznie dzieje się tu więcej niż w domu, więc dlaczego by nie wpaść choćby na chwilę.

Szefowa pozwala mi wejść i rozwiesić hamak pod daszkiem na podwórku. Pokoje są zajęte. W pierwszym mieszka Yenifer z dwójką dzieci: najpierw musiała uciekać ze swojej wioski w skonfliktowanym departamencie Chocó na drugim końcu kraju, a niedawno grupy paramilitarne zajęły farmę, na której znalazła sobie nowe miejsce do życia.

Alfredo z żoną i córeczką zajmują drugie pomieszczenie. Właśnie wyrzucili ich z Wenezueli. „To było normalne niedzielne popołudnie, centrum miasta, wyszliśmy na lody, pospacerować, a oni mnie o dokumenty. W Caracas mam całe życie, dom, samochód, i teraz nie mam pojęcia, co robić”. Przyjechali dwa dni temu, więc według regulaminu ośrodka jutro muszą się wymeldować.

Alfredo ma trzydzieści kilka lat. Jest mechanikiem samochodowym z Cali na zachodzie Kolumbii. Zapytał, czy mi nie będą robić problemów na granicy. Mówię, że chyba nie, że pokażę paszport, dadzą pieczętkę i gotowe. Na dźwięk słowa *paszport* otworzył lekko

Kup książkę

Poleć książkę

usta i przekrzywił głowę. Zapytał, skąd się taki paszport bierze. Żył za granicą cztery lata i ani razu nie przyszło mu do głowy, że dokumenty, że podanie o rezydencję, że pozwolenie na pracę. I nie jest wyjątkiem: oficjalnie w Wenezueli przebywa około miliona zarejestrowanych Kolumbijczyków, ale niezarejestrowanych według niektórych szacunków może być nawet czterokrotnie więcej. Alfredo spędził dwa dni w Maicao na szukaniu pracy, ale chociaż przygraniczne miasteczko to jeden wielki warsztat samochodowy (skrzyżowany ze sklepem monopolowym), nie udało mu się nic znaleźć. „Tanie, dobre, bezpieczne życie jest tam, po drugiej stronie, bracie!” – westchnął i kiwnął głową w stronę granicy.

Bo jeśli nawet by tę pracę znalazł, to zarobiłby tyle, co nic. Jedzenie drogie, edukacja kiepska albo płatna, opieka lekarska poza zasięgiem. „A w Wenezueli dadzą ci mieszkanie, praca na każdym rogu, do lekarza za darmo, do szkoły za darmo, no i przede wszystkim bezpieczeństwo”. Słuchałem go długo, jak wymieniał, co to jeszcze jest za darmo, i zastanawiałem się, co skłania mieszkańca jednego z najniebezpieczniejszych krajów świata (Kolumbia, dwunaste miejsce na liście państw z największą liczbą zabójstw *per capita*) do wyjazdu do sąsiada-niemal-rekordzisty (Wenezuela zajmuje elitarną drugą lokatę w tym samym rankingu, zaraz za Hondurasem: ta dwójka liderów w sprinterskiej ucieczce zostawia peleton daleko z tyłu¹⁾).

Spytałem Alfredo o walutę. Wyciągnął z kieszeni plik boliwarów złożonych w pół i spiętych gumką. Zdjął ją i przeciągnął palcem po zszarzałych różowych banknotach. Zanie-mówiłem, bo miał tego dużo: może z dwieście sztuk. To były wenezuelskie dwudziestki: wyższe nominały mają tylko pięćdziesiątka i setka. A ja jeszcze nie wiedziałem, że to jedynie papier, że to nic nie jest warte, że za tę imponującą ilość pieniędzy z trudem kupi się parę tanich butów. Złożył z powrotem banknoty, ścisnął je gumką i wsunął do kieszeni. Powie-dział, że mogę je kupić na placu w centrum albo na granicy. Poszedłem na plac.

Główną ulicę Maicao, jak wszystkie ważne arterie kolumbijskich miasteczek, opa-nowały niepodzielnie motory. Za przejazd drogami publicznymi płaci się na bramkach roz-stawionych co jakieś pięćdziesiąt kilometrów, i to płaci się całkiem solidnie. Dwukołowcom myto odpuszczono, więc człowiek zastanowi się dwa razy zanim kupi samochód osobowy. Zastanawiając się tym drugim razem, najpewniej zdecyduje się na motocykl. Po zakupie od razu odkręci mu tłumik, by warczącym silnikiem podkreślać swą męskość. Potem siądzie

1) Według danych Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC) za rok 2012 w Hondurasie doliczono się 90,4 zabójstw na 100 tysięcy mieszkańców rocznie, podczas gdy w Wenezueli „jedynie” 53,7. Dla porównania: analogiczna liczba dla Kolumbii wynosi 30,8, a dla Polski 1,2 (dane z roku 2011). Niezależny raport organizacji Observatorio Venezolano de Violencia (OVV) z roku 2015 ogłasza wzrost wskaźnika zabójstw w Wenezueli do 90 na 100 tysięcy mieszkańców. OVV wylicza przy okazji, że aż 19% zabójstw popełnionych w całej Ameryce Łacińskiej i na Karaibach przypada na stosunkowo mało za-ludnioną Wenezuelę (nieco ponad 30 milionów mieszkańców przy dwustumilionowej Brazylii).

pod monopolowym wsłuchany w *vallenato*, kolumbijski gatunek muzyczny, którego głów-nym motywem tematycznym jest los mężczyzny pokrzywdzonego przez kobietę. Zosta-wiła go, podle stworzenie. Płaczliwy głos wokalisty, na stole piwo, rum i domino, a nad nim pochyleni *prawdziwi faceci*. Taki krajobraz to wysokogatunkowy towar eksportowy: w Wenezueli przyjął się doskonale.

Czyli na głównej ulicy jest huk motorów i piwiarnie. I ten nadgraniczny bajzel, roz-gardiasz, ta atmosfera tymczasowości i nerwowego oczekiwania. Bo każdego dnia cena dolara może skoczyć, a boliwara – sięgnąć dna. Może się zdarzyć, że zamkną granicę: mun-durowi zdolni są wymyślić jakąś jednodniową medialną akcję kontroli przemytu benzyny, by nagłówki gazet upewniły wenezuelskiego czytelnika, że rząd dba o interesy suwerena. Wtedy kierowcy zablokują przejście i biznes na chwilę stanie w miejscu. Dlatego trzeba korzystać z dzisiaj, bo jutro nigdy nie jest pewne. Chociaż lepsze raczej nie będzie. Z tysięcy syryjskich i libańskich handlarzy, którzy przyjechali tu dziesiątki lat temu, została garstka. I wielki meczet, podobno trzeci co do wielkości w całej Ameryce Łacińskiej. Ci, którzy nie wyjechali, siedzą w głębi swoich sklepów AGD, wciśnięci między rzędy pralek. Maszyny stoją tu pewnie od czasów, gdy to z Wenezueli jeździło się do Kolumbii na tanie zakupy. Teraz kurs waluty się odwrócił i klienci nie przyjeżdżają: na wylotówce z Maicao stoją całe opustoszałe centra handlowe. Niektórzy z dawnych bliskowschodnich imigrantów sprze-dają teraz szalarmy w klimatyzowanych restauracjach. Tam też nie ma tłumów, ale ja się skusiłem: wreszcie jakaś odmiana od ryżu, fasoli i smażonego kurczaka.

Parque central, czyli rynek, stał się sceną dla czegoś w rodzaju happeningu: jego uczestnicy zabierają z domu stare drewniane biurka i krzesła, ustawiają na brukowanym placu, siadają po dwóch, po trzech i czekają. Jedni rozmawiają, inni patrzą w dal w milcze-niu. Nie pokrzykują jak sprzedawcy hot dogów czy ubrań. Między meblami powoli toczą się wózki handlarzy lodów i soku z pomarańczy, a nad całym zgromadzeniem rozpościerają się obszerne korony drzew. To tutaj wymienia się walutę: banki mają zakaz obrotu dolarami ze względu na bliskość granicy, boliwarem handluje się po cenie nieoficjalnej, więc plac to jedyne miejsce na tego typu transakcje. Kupuję jedno i drugie: dolary i boliwary, ale więk-szość moich kolumbijskich pesos zamieniam na amerykańską walutę: cena wenezuelskiej spada każdego dnia, więc z większymi zakupami warto poczekać. Wracam do centrum dla migrantów, pakuję się i jadę na granicę.

Na widok daty wjazdowej przy stemplu w paszporcie młody urzędnik kolumbijski w białej koszuli i granatowym uniformie zmarszczył brwi. Wziął do ręki biurkowy kalendarz i teraz przesuwając palcem po datach. „Osiemdziesiąt dziewięć, liczył pan?” Czoło mu się wygła-dziło, a na twarzy zabłysnął uśmiech, z tych ozdobionych śnieżnobiałym uzębieniem. Jasne, że liczyłem: przyjechałem na granicę dzień przed ostatecznym terminem, tak na wszelki wypadek.

Teraz kolej na biuro migracyjne po drugiej stronie szlabanu. Przekraczanie granic w Ameryce Południowej zawsze jest dla mnie źródłem adrenaliny: nigdy nie wiesz, kiedy wymyślą jakąś nową opłatę wjazdową, jakieś regulacje dotyczące obowiązku posiadania biletu wyjazdowego, określonej ilości pieniędzy, karty takiej czy innej. Albo po prostu spróbują cię naciągnąć na dobrowolną donację. Na przejściu w Paraguachón – o dziwo – nie spotyka mnie nic z tych rzeczy. Panuje za to pewien chaos, który śmiało można nazwać burdelem. Pracownicy w czerwonych dresach szwendają się z rozkojarzonymi minami po obiekcie, drzwi zamykają się i otwierają, ale jakoś nikt nie wpada na pomysł, żeby obsłużyć petentów. I tak ta sama liczba ludzi, która przez kolumbijskie biuro przechodzi płynnie, po drugiej stronie granicy formuje kilkunastometrowy sznureczek.

Koniec końców dostałem pieczętkę, żołnierz na wyjeździe zmierzył mnie wzrokiem i znalazłem się w Boliwariańskiej Republice Wenezueli. I bardzo szybko poczułem, że chcę z niej uciekać. Zatrzymywałem się co kilka kilometrów, przysiądałem w skrawku cienia i zastanawiałem się: „A gdybym tak wrócił do Kolumbii?”. Wąską drogę z granicy do Maracaibo opanowały absolutnie i niepodzielnie złomy fordów i chevroletów z lat siedemdziesiątych. Zajmują całą trasę, tak na długość, jak i na szerokość: pedałowanie w takich warunkach staje się stresującą męką, a nie przyjemnością. Na bezwietrznej równinie osłoniętej drzewami od morza powietrze stoi, szarzeje od spalin i dosłownie gryzie w gardło. Pordzewiałe sześciolite i ośmiocyldrowe maszyny o przepastnych bakach dzień i noc wożą na granicę benzynę. Zysk jest właściwie stuprocentowy: w Wenezueli cena paliwa – w połowie października 2014 – to niecałe 0,1 Bs.F² za litr, czyli 10 Bs.F za stulitrowy zbiornik. Przy czarnorynkowej cenie dolara z tamtych dni, wynoszącej jakieś 100 Bs.F za 1 \$, mówimy o trzydziestu kilku groszach za bak. Zresztą nawet gdyby liczyć po cenie oficjalnej, 6,30 Bs.F za dolara, koszt inwestycji byłby znikomy. Natomiast za granicą, w Kolumbii, ceny benzyny nie różnią się wiele od europejskich. Na wenezuelskich stacjach brakuje więc paliwa: kolejki blokują ulice wyjazdowe miast, porządkiem kieruje gwardia narodowa (a dokładniej: Boliwariańska Gwardia Narodowa). Na poboczu, w cieniu drewnianych straganów kryją się handlarze detaliczni z benzyną w plastikowych butelkach po wodzie mineralnej: 130 Bs.F za pięciolitrowy baniaczek. Drogo? No to proszę bardzo, alternatywą jest spędzenie połowy dnia na stacji benzynowej. Niby wprowadza się jakieś regulacje, naklejki z kodem magnetycznym na szybach samochodów, zakaz sprzedaży benzyny do zbiorników innych niż baki pojazdów i tak dalej, ale to w niczym nie pomaga. Z perspektywy kierowcy-przemytnika to tylko jedna więcej łapówka do zapłacenia. Krążą opowieści, że przez przejście w Paraguachón

2) Bs.F to *bolívar fuerte*, „silny bolívar”; w 2007 roku zastąpił „zwykłego” bolíwara (Bs.) w stosunku 1 Bs.F = 1000 Bs.

przeprowadzono nawet szlauch roponośny albo że wojskowi wysyłają za granicę całe cysterny paliwa. Każdy coś słyszał, widział albo sam przewoził.

Wzdłuż ponadstukilometrowej drogi oglądam dziesiątki murowanych domów. Rozrzucono je luźno: co dwieście, co pięćset metrów. Czasem ta odległość maleje i wtedy mamy do czynienia z wioską czy miasteczkiem, ale nie ma tak, by pozostawiono jakąś większą przestrzeń niezamieszkałą. Nad szkołami górują zadaszone boiska z niezmiennie zerwanym dachem. Czyli właściwie są to niezadaszone boiska ozdobione zrolowaną przez wiatr blachodachówką. Całość krajobrazu – razem ze szkołami, ze mną, z domami i samochodami – tonie w śmieciach w sposób absolutny. Kończy się asfalt, dalej jest z pół metra piaszczystego pobocza i zejście z drogowego wału, a poza nim już tylko morze syfu z rozrzuconymi chaotycznie wyspami domów jednorodzinnych. Mieszkają w nich Wayuu, rdzenny naród z pustynnego półwyspu Guajira, podzielonego między Kolumbię i Wenezuelę. Niezwykle sympatyczni, pokojowo nastawieni ludzie. Częstość tym, co mają, zazwyczaj smażonymi rybami, i zadają dużo pytań. Jedynym problemem – ale najwidoczniej tylko dla mnie – są śmieci. Im to nie przeszkadza: te sadzawki wypełnione odpadkami, w których komary przeżywają ucieleśnienie mitu o ziemi obiecanej, najwyraźniej nie zakłócają spokojnego życia nadgranicznej prowincji. Wayuu po prostu zawsze wyrzucali śmieci przed dom, tylko że kiedyś to były rybie wnętrzności, skórki z bananów czy kości baranów i kóz, a teraz: plastikowe butelki, stare opony i torebki po chipsach. Nikt im nie powiedział, że można inaczej: sprowadzili ich z pustyni, dali domy z betonu, czasem jakąś pracę. I żyją, jak potrafią.

Pierwszą noc spędziłem właśnie u jednej z rodzin Wayuu. Miałem spać w hamaku, ale komary nie dawały zmrużyć oka, więc rozłożyłem namiot przy domu. Rano wytargałem rower na drogę, przejechałem kilka kilometrów i znowu siadłem pod jakimś opuszczonym straganem, w skrawku cienia niebieskiej ceraty zatrudnionej w charakterze dachu. „Jeśli taka będzie cała Wenezuela, to ja się stąd ewakuuję” – pomyślałem. Przecież chyba nie po całym kraju jeżdżą te chevrolety z benzyną na granicę.

Co do śmieci, to nawet w czystej Kolumbii Wayuu zrobili z Guajiry śmietnik. To taki kontrast zresztą: wioski narodów tubylczych w dalekich, egzotycznych krajach – z europejskiego punktu widzenia, powiedzmy – kojarzone są z życiem zgodnym z naturą, z równowagą, ekologią i innymi ideami obrońców środowiska. Rzeczywistość jest natomiast taka, że te osady to zazwyczaj największe śmietniki w okolicy. Butelki, plastikowe torby, kawałki telewizorów tworzą wodospady spływające po nabrzeżach rzek: prosto z domów do wody; formują kozuchy oblegające karaibskie wyspy i kopce w lasach i dżunglach, zmieniają kaktusy w choinki. Nie mówię, że to jest czyjaś wina, tylko że tak się czasami zdarza, tak się zdarza zazwyczaj.

Dalej, za Maracaibo, miało być lepiej, ale jeszcze o tym nie wiedziałem. Nie wytrzymałem naporu samochodów, śmieci i smrodu: skręciłem w pierwszy zjazd w lewo i zgodnie z oczekiwaniami znalazłem się na plaży. Trafiłem na szeregi zielonych i niebieskich domków otoczonych kamiennym murem. Obszerny basen pośrodku wyłożono niebieskimi kafelkami. Drzwi i bramy dały drogę wiatrom, a te usypały w opuszczonym ośrodku wczasów pracowniczych podłużne wydmy. Omija je starszy mężczyzna przeszukujący kolejne pomieszczenia. Nic już tam nie ma: okna najwyraźniej dawno wyrwano, po instalacjach elektrycznych zostały podłużne plamy na ścianach, po toaletach – dziury w ziemi, po porządku – posterunek policji przy wjeździe i ostatni policjant bujający się w sparciałym hamaku. Chodzi po cywilnemu i wita się ze mną uprzejmie. Pewnie tylko dzięki jego obecności nie zdarto jeszcze ładnych czerwonych dachówek przykrywających wszystkie chatki. Starszy mężczyzna, który wymijał wydmy, szukał listewki odpowiedniej do naprawy szafy. Opowiedział mi o Polaku, który pracował kiedyś tutaj, to znaczy w Caimare Chico. Podobno umarł dwadzieścia lat temu. Nie miał rodziny.

Na horyzoncie po lewej wyrasta rząd elektrowni wiatrowych. Żadna z nich nie pracuje. Sterczą jak kije wsadzone w piasek, jak przerośnięte trzciny na brzegu przerośniętego jeziora. Przy drodze wielkie tablice radośnie informują o czystej energii zgodnej z ideą ekocjalizmu (jedyne billboardy rządowe w kolorze zielonym, a nie rewolucyjnoczerwonym). Jak celnie zauważa Emiliano Terán Mantovani, autor krytycznej, ale jednak prorządowej rozprawy *El fantasma de la Gran Venezuela*, mówienie o ekopolityce w Wenezueli jest absurdem. Chodzi przecież o państwo, gdzie trzon programu ekonomicznego (zarówno według miłościwie panującego reżimu, jak i opozycji) to plan zwiększenia wydobycia ropy naftowej z pól na północ od Orinoko i – co za tym idzie – wypełnienia atmosfery Ziemi, Matki naszej, jeszcze większą ilością spalin. To prawda, że ponad 60% energii elektrycznej Wenezueli pochodzi z elektrowni wodnych, ale najważniejsze inwestycje tego typu realizowano w latach sześćdziesiątych. Zużycie jednak szybko rośnie: tylko w ostatnich trzydziestu latach populacja Wenezueli niemal podwoiła się i obecnie wynosi ponad trzydzieści milionów mieszkańców, tymczasem nikt nie pomyślał o kolejnych projektach równie spektakularnych co elektrownia Guri³, z trzecim co do wielkości zbiornikiem retencyjnym na świecie. Dziury w systemie łąta się doraźnymi konstrukcjami elektrowni ciepłych na ropę i gaz, tymi rzędami pieców

3) Według danych narodowej korporacji energetycznej Corpoelec całkowita wydajność systemu elektrycznego kraju to 24 tys. MW, podczas gdy sama tylko elektrownia wodna Guri dostarcza przeszło 10 tys. MW. Inna sprawa, że możliwości Guri nie są w pełni wykorzystywane: bardzo często zdarza się, że przez zaniedbywanie przeglądów i napraw funkcjonuje jedynie nieco ponad połowa z dwudziestu turbin, zob. na przykład *Ocho turbinas de la Central Hidroeléctrica Guri fueron desincorporadas*, „El Nacional”, Caracas, 19 lutego 2013.

zamkniętych w białych klatkach ustawionych na wylotówkach z miast i wiosek. Czasem chodzi o większe obiekty zaopatrujące fabryki przemysłu ciężkiego. I czasem zupełnie nic z tego nie wychodzi, bo rząd zamówił używane elementy elektrowni z zagranicy po okazyjnej cenie, ale nikt nie wpadł na to, żeby zadbać o stałe dostawy paliw, albo w ogóle o nich zapomniano i leżą gdzieś w porcie, pomalowane co prawda na rewolucyjny czerwony, ale bezużyteczne⁴. Kilkugodzinne cięcia elektryczności stały się w Wenezueli normą.

Być może w ośrodku w Caimare Chico nigdy nie było ani okien, ani toalet, ani Polaka: w Maracaibo opowiadano mi potem, że obiekt zaczęto budować kilka lat temu i nigdy nie ukończono. Zabrakło pieniędzy albo dobrej woli. Tak czy inaczej zostały po nim kolorowe domki, chodniczki zasypały hałdy piachu, a restaurację – kozie gówna. Kiwałem się w hamaku i zapisywałem te słowa. Potem zszedłem do morza i przepłynąłem krótki odcinek w płytkiej wodzie. Plaża pstrzyła się z rzadka ciemnymi plamkami. Wdepnąłem w jedną z nich, to była ropa. Chciałem wyczyścić stopę, ale czarna maź przykleiła się do ręki. Chwilę później tą samą ręką oganiałem się od komarów: na koniec musiałem przypominać dalmatyńczyka. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Wenezuelą.

Dolary

Przez ostatni miesiąc przejechałem całe karaibskie wybrzeże Kolumbii, no i ten nie-szczesny fragment Wenezueli, pełen starych samochodów i spalin. Cztery tygodnie spania w namiocie i jedzenia płatków owsianych z cukrem oraz skąpanych w tłuszczu obiadów w przydrożnych barach. Miesiąc nieustannego upału. Albo na przykład to, że koszulkę na zmianę trzeba wygrzebywać gdzieś z głębin rowerowej sakwy. To nie jest takie proste, bo najpierw trzeba wyjąć aparat, potem odsunąć podręczną kurtkę na wieczory i deszcze, rozsunąć brzegi foliowej torby, wsadzić łapę i odszukać odpowiednią szmatę. Ta niedogodność męczy, przynajmniej na dłuższą metę, dlatego gdy dojeżdżam do Maracaibo, wygodny błogostan cywilizacji cieszy mnie jak rzadko.

W swoim domu przyjęła mnie Gleana. Jemy dobrze. Leżymy. Słuchamy muzyki. Trzech starych studentów i jeden brodaty rowerzysta z Polski. Gramy na gitarach. Młodzież (bo w Wenezueli starzy studenci są młodszy niż *nasi* starzy studenci) tłucze rockowe hity. Pękła struna. Napilem się kawy. Dwa razy. Umyłem się. W mieszkaniu jest klimatyzacja. Uczą mnie lokalnych zwrotów i powtarzają, że wszystkie te zwroty są bardzo *maracucho*, czyli że typowe dla Maracaibo. Po jakimś czasie przekonuję się, że najbardziej *maracucho*

4) Damián Prat, *Guayana. Ninguna obra industrial nueva: mucha ruina*, w: *La gran farsa. Balance del gobierno de Hugo Chávez Frías 1998–2012*, Caracas: Editorial Libros de El Nacional, 2012.

jest mówić, że wszystko jest niezwykle *maracucho*. Nie myślę dużo. Nawet nie silę się na zrobienie czegoś konstruktywnego: wyprać, naprawić, sprzątnąć, zakupić. Później. Pozwalam nieść się temu, co dają. Właściwie decydują za mnie. Dbają. Idziemy do meksykańskiej restauracji. Jest bardzo tanio, żarcie – świetne. I chyba właśnie tego potrzebowałam: przez chwilę nie kierować moim życiem (albo raczej: nie próbować usilnie kierować nim). Jem. Leżę. Uśmiecham się do sufitu. Ale mi dobrze. Czytaliśmy z Gleaną na głos wiersze Nerudy, słowa piosenek i notatki z psychologii. Nie wiem, kiedy ostatni raz i z kim robiłem coś takiego, ale to chyba było bardzo dawno temu.

Po południu praktycznie nigdy nie ma prądu. Pompa tłocząca wodę do budynku jest elektryczna, więc wody też nie ma. W domach jednorodzinnych w całym kraju ludzie stawiają sobie na dachach wielkie niebieskie zbiorniki z wodą. Taka kombinacja wygląda jak domek z klocków, na którym ktoś postawił plastikowy kieliszek. Na nowiutkim osiedlu trzypiętrowych bloków na przedmieściach nikt jeszcze na to nie wpadł, więc do tej meksykańskiej restauracji poszliśmy bardziej z przymusu niż z chęci.

Maracaibo to przeszło dwumilionowa metropolia szerokich alei i betonowych wież. Jest dość rozległa i właściwie nikt tam nie chodzi piechotą. Za transport zbiorowy służą te same wiekowe gruchoty Forda, Chryslera i Buicka, które pomimo dziesiątek lat, rozbitej maski i braku reflektorów zadymiają całą drogę aż po granicę z Kolumbią. W mieście jeżdżą na stałych trasach, jak autobusy, a oprócz kierowcy do środka pakuje się pięciu pasażerów. W godzinach szczytu ludzie ustawiają się w sznureczkach na umownych przystankach na rogach ulic. Gdy w kolejce jest osoba z małym dzieckiem, kierowca zaprasza ją poza kolejnością. W środku wali benzyną, a z głośników obowiązkowo nadaje kolumbijskie *vallenato* lub regionalne radio. W przypadku braku głośników śpiewa kierowca. Podobno bywa, że ktoś się nagle dosiada, przykładając pistolet do głowy i rabuje, znaczy się: nie jest to renomowany środek transportu, przynajmniej jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Ale działa.

Poza tym stolica stanu Zulia spełnia wszystkie kryteria rozwiniętego, dużego i nudnego miasta. Życie koncentruje się w centrach handlowych ze szkła i betonu, gdzie je się w sieciowych restauracjach typu Pizza Hut czy McDonald i u ich regionalnych odpowiedników. Mieszkańcy są czysti, wypachnieni i ubrani w nowe ciuchy. I prawie ich nie widać, bo z klimatyzowanego domu przedostają się klimatyzowanym samochodem do klimatyzowanego biura bez dłuższych postojów w nieklimatyzowanej przestrzeni publicznej. Rzeczywiście, wydaje się, że przeważająca część lokali usługowych to warsztaty samochodowe, myjnie, punkty sprzedaży wycieraczek i oleju silnikowego. Szukałem sklepu spożywczego i po dwóch godzinach maszerowania po opustoszałych chodnikach dałem sobie spokój. Miasto samochodów. Czarny asfalt ulic potęguje i tak już nieznośny wilgotny upał znad jeziora Maracaibo. Powietrze stoi. Ludzie ustawiają sobie w domach i sklepach klimatyzację

na piętnaście stopni. Ja przy takiej temperaturze w mieszkaniu w Krakowie włączałem gazowy piecyk: nie dogodzisz naturze ludzkiej.

Zwyczajowym wenezuelskim pozdrowieniem porannym w domu jest *¿cómo amaneciste?*, od czasownika *amanecer* – dzień, świtać. Trudno to przetłumaczyć, bo wychodzi mniej więcej „jak zaświtałeś?”. Od jakiegoś roku pytanie to występuje w zestawie *¿cómo amaneció el dolar?*, czyli „jak zaświtała amerykańska waluta?”.

Historia waluty wenezuelskiej jest stosunkowo skomplikowana, dość jednak rzecz w tym momencie, że ostatnio przeżywa kryzys. Jeśli chcielibyśmy odrobinę rozwinąć tę historię, trzeba by powiedzieć, że od początku wydobywania ropy w Wenezueli, a zwłaszcza od boomu cen surowca w 1973 roku i niezależnie od opcji politycznej u steru władzy, boliwara długo utrzymywano na zbyt wysokim kursie, zazwyczaj stałym w stosunku do dolara. W związku z tym nie opłacało się produkować w kraju, gdzie płace były wysokie, a brak doświadczenia nie pozwalał, by załóżki wenezuelskiego przemysłu – niezaawansowanego i drogiego – mogły konkurować na rynku międzynarodowym. To jeden z historycznych powodów niedorozwoju produkcji wewnętrznej: w 2012 roku, po prawie stu latach wydobywania, zyski z ropy naftowej stanowiły 96,1%⁵ (!) całkowitych zysków z eksportu, i obecnie do kraju importuje się nawet kawę, czyli produkt, z którego sprzedaży Wenezuela żyła przed nastaniem ery benzynowej. W 1983 roku doszło do silnej dewaluacji i wprowadzono, obowiązującą do 1989, kontrolę wymiany walut, która też nie ułatwiła życia przedsiębiorcom. Następnie przyszły lata kilkudziesięcioprocentowych inflacji, potem kolejna kontrola wymiany, słowem: bolívar stabilną walutą nie jest już od dłuższego czasu. Obecnie dolar stał się dobrem deficytowym i jego nieoficjalna cena rośnie właściwie codziennie. Oficjalnie zaś jego zakup obwarowano kontrolą wymiany przewidującą trzy różne kursy.

Nie jest to sytuacja nowa: regulacja wprowadzona po raz pierwszy podczas kryzysu w latach osiemdziesiątych przewidywała cenę 4,30 Bs. za dolara dla importerów dóbr preferencyjnych, takich jak żywność i leki; 6,00 Bs. dla pozostałych gałęzi importu i 9,00 Bs. dla innych chętnych na zakup amerykańskiej waluty. Miało to między innymi zapobiec wyciekowi środków na konta w Stanach Zjednoczonych, w owym czasie dużo lepiej oprocentowane niż te w Wenezueli. Nietrudno się domyślić, że trzy kursy tej samej waluty i fakt, że niemal wszystkie dewizy z eksportu wędrują do rządowej kasy, to niezawodna recepta na korupcję i świetny interes: wystarczy zapłacić komu trzeba, kupić dolary za 4,30 Bs. i sprzedać za 9,00 Bs. W 2014 roku obowiązywała podobna regulacja, z cenami odpowiednio: 6,30, 12 i 50 Bs.F za dolara. Każda stawka miała swoje obwarowania, a system

5) Według danych z informatora ekonomicznego Banku Centralnego Wenezueli z 2013 roku. W kolejnych latach zarzucono publikację informatorów, stąd nie ma oficjalnych danych za lata 2013–2015.

przydzielania dewiz kulał i opóźniał się. Po kursach 12 i 50 Bs.F – nazwanych odpowiednio SICAD I i SICAD II (Sistema Complementario de Administración de Divisas) – amerykańską walutę można kupować dwa razy w miesiącu w ramach tak zwanych licytacji. Oprócz nazwy nie ma to jednak z licytacją wiele wspólnego: składa się odpowiednie papiery i czeka z nadzieją, że w transzy dewiz przeznaczonych na dany miesiąc waluty starczy i dla nas. Przedsiębiorca nie ma możliwości wymiany w dowolnym momencie, co odbija się na możliwości zakupu materiałów czy półproduktów koniecznych do funkcjonowania firmy. Stąd produkcja bywa wstrzymywana, a import nie dociera.

Osoby prywatne mają do dyspozycji rocznie trzysta dolarów po kursie SICAD I, które mogą wykorzystać na zakupy przez internet za granicą, i maksymalnie trzy tysiące dolarów na podróże, w tej samej cenie. Aby je dostać należy przedłożyć odpowiednim instytucjom cały plik dokumentów, w tym bilet lotniczy (na jeżdżenie rowerem, samochodem czy autobusem tanich dolarów nie dostaniemy), rezerwację hotelową i plan podróży. Wtedy administracja niczym łaskawy ojciec, który lepiej wie, czego i ile nam trzeba, w zależności od celu i długości wyjazdu przyznaje – lub nie – prawo zakupu pewnej ilości waluty. Wykwita z tego ciekawy paradoks: dla Wenezuelczyka tańsze okazuje się spędzenie wakacji, powiedzmy, we Włoszech, niż we własnym kraju. Rzeczywiście: relatywnie tani obiad w słonecznej Italii kosztuje równowartość około 8 dolarów, czyli – przeliczając po kursie SICAD I – niecałe 100 boliwarów. A w Wenezueli standardowa cena posiłku to obecnie 150–200 boliwarów⁶. Nic, tylko jechać za granicę!

Kiedy znajoma z Caracas próbowała kupić jakikolwiek niekrajowy bilet lotniczy usłyszała, że wykupiono wszystkie na najbliższe kilka miesięcy. Wenezuelczycy stali się nagle zapalonymi turystami: latają do Ekwadoru czy Peru, wynajmują pokój w hotelu na dwa tygodnie, zwykle blisko lotniska, i ruszają się stamtąd tylko do najbliższego miejsca, gdzie mogą wybrać całą przysługującą im pulę dolarów, za które zapłacili po 12 boliwarów za sztukę. W kraju sprzedadzą je za 250 na czarnym rynku i przez kilka miesięcy nie będą musieli pracować. Jednak na tego rodzaju interesy mogą pozwolić sobie jedynie ludzie z odpowiednim kapitałem inwestycyjnym: bo żeby wylecieć, trzeba kupić bilet, a żeby kupić bilet, trzeba mieć dolary. A dolarów... nie można mieć, to znaczy nie istnieje legalny sposób na posiadanie kwoty większej niż trzysta dolarów rocznie bez wylotu za granicę, na który to lot trzeba mieć bilet, a żeby kupić bilet, trzeba mieć dolary...

W tym gąszczu zaostżeń i regulacji nietrudno o sytuację, w której ktoś potrzebuje więcej niż przewiduje ustawa. Z żywej gleby tej to właśnie potrzeby wykwiata bujnie

6) W powyższym zdaniu „obecnie” dotyczyło marca 2015 roku, już w październiku standardowa cena obiadu poszybowała do pięciuset boliwarów. A we Włoszech się nie zmieniła.

czarny rynek, na którym cena dolara szaleje. Gdy wjeżdżałem do Wenezueli w październiku 2014 roku, za dolara można było dostać dziewięćdziesiąt osiem boliwarów. Gdy piszę te słowa – jest połowa marca 2015 – cena skoczyła do dwustu pięćdziesięciu⁷. Nadużycia stają się coraz atrakcyjniejsze: zdobyć dolary za 6,30 – czy nawet za 12 boliwarów – i sprzedać za 250? Czysty zysk! A w kraju, w którym kontrola i odpowiedzialność nie należą do najpowszechniejszych cnót administracji państwowej, nie jest to bardzo trudne. Miguel Rodríguez Torres, minister spraw wewnętrznych do 2014 roku, ocenia, że nawet 40% firm, które otrzymały od rządu dolary po cenie preferencyjnej, nie wywiązało się ze swoich zobowiązań dotyczących importu czy produkcji⁸. Tymczasem ludzie wciąż wspominają piękne lata pięćdziesiąte, kiedy to dwudziestego ósmego lutego 1955 roku wenezuelski prezydent Marcos Pérez Jiménez trafił na okładkę magazynu „Times”. Nie za dyktatorskie porządki wojskowego reżimu: raczej za to, że dzięki tym porządkom wenezuelski boliwar wart był więcej niż dolar. To znaczy tak mówią, ale to akurat tylko miejska legenda.

Dla mnie, przyjeźdnego, to bardzo korzystna sytuacja: Wenezuela z jednego z najdroższych miejsc w Ameryce Łacińskiej zmieniła się nagle w kraj, gdzie z bardzo skromnym budżetem można się poczuć jak milioner. Wymieniłem pieniądze w sklepie rowerowym, gdzie przy okazji kupiłem łańcuch i wolnobiegi. Za trzy banknoty – dwie dwudziestki i jedną dziesiątkę – dostałem gruby plik boliwarów. Liczenie zajęło mi dobrą chwilę. Wenezuelską walutę dostałem w postaci pięćdziesiątek: za trzy banknoty otrzymałem dziewięćdziesiąt pięć. To nieco więcej niż ówczesne miesięczne wynagrodzenie minimalne w kraju. Poszedłem na obiad: za zupę z soczewicy i drugie z ryżem, fasolą, smażonym bananem, plasterkiem pomidora (znaczy się: surówką) i kawałkiem kurczaka zapłaciłem dwoma zielonymi banknotami: sto boliwarów, jakieś cztery złote. Posmakowało mi. Z taką ilością pieniędzy to nic, tylko iść i konsumować: nie mogłem sobie odmówić poobiedniej wizyty w kawiarni.

Estación Central de Café pełna była po brzegi. Zostawiłem rower przy oknie zajmującym całą frontową ścianę, by mieć go na oku. Wszedłem i zaraz pożałowałem, że nie mam ze sobą kurtki i szalika: piętnaście stopni w klimatyzowanym wnętrzu uderzyło w rozgrzane ciało. Poza tym spodobało mi się: gustowny lokal bez krzykliwej muzyki, przestronna sala i spory wybór napojów. Brązowe ściany, ciepłe światło lamp i jakiś minimalistyczny mural z motywem kawowego ziarna. Po prostu dobre miejsce do czytania książki: brakuje tylko, by znajdowało się na parterze na wpół zaniedbanej kamienicy, a nie przy stacji benzynowej – ale to już chyba taki krakowski fetysz. Wszystkie stoliki zajęte, znaczy się widać,

7) Gdy edytuję te słowa – jest październik 2015 – dolar przebił się przez próg ośmiuset boliwarów i za pewne przymierza się do przebicia tysiąca.

8) *40% de empresas que recibieron dólares oficiales eran fantasmas*, „El Universal”, Caracas, 13 grudnia 2013.

że takich miejsc w Maracaibo brakuje: nie każdy zadowala się wsuwaniem smażonego kurczaka zapijanego colą przy akompaniamencie *vallenato*. Siedzę więc spowity elegancją cudzych ubrań (mam na sobie te same co zawsze spodenki i plastikowe klapki, aż dziwne, że mnie tu wpuścili: na przykład do centrów handlowych w Wenezueli tak nie wejść), bawię się serwetką, patrzę za okno. I przebieram nóżkami z radości, bo jutro idę do filharmonii. Nawet nie wiem, co grają, po prostu dawno nie byłem. Może jakiegoś Czajkowskiego dla stęsknionej słowiańskiej duszy? Nie obraziłbym się. (To był koncert jubileuszowy Orkiestry Symfonicznej z Maracaibo, pięćdziesiąte szóste urodziny. I rzeczywiście zagrali szóstą symfonię Piotra Iljicza, sami, i poszło im dostatecznie. A potem próbowali sił z solistą na wiolonczeli i to był już koszmar: dość typowa sytuacja, kiedy orkiestra gra swoje, a gwiazda wieczoru swoje, i nic z tego nie wychodzi).

W następnych dniach postanowiłem załatwiać tak zwane *sprawy*. Kupiłem na przykład kartę do telefonu: okazało się, że do tego trzeba paszportu, a właściwie to jeśli z paszportem, to nie mogę tego zrobić w zwykłym punkcie sprzedaży, tylko w Centrum Wszystkich Centrów. Pomogła mi Dianeth: podsunęła sprzedawczyni swój dowód osobisty i już za pół godziny (!) miałem wenezuelski numer telefonu. Później szukałem opon i to było dużo trudniejsze, bo obecnie w Wenezueli w ogóle jest mało rzeczy w sklepach, a co dopiero opon rozmiaru dwadzieścia osiem cali w sytuacji, gdy wszyscy używają dwudziestosześciocalowych. Pomagał mi Ignacio: jeździliśmy po całym mieście, sprawdzając po kolei wszystkie lokale. Pomagać zresztą chcieli wszyscy: sypali numerami telefonów do znajomych, którzy mogą coś wiedzieć na temat, zapraszali na spotkania i zapewniali, że w razie jakichkolwiek problemów należy walić prosto do nich. Prócz opon potrzebowałem także łańcucha. Ignacio zabrał mnie do niewielkiego magazynu niedaleko historycznego centrum. Starszy pan za ladą rzucił bez zastanowienia, że nie ma, ale po chwili coś sobie przypomniał i przyniósł z zaplecza niewielkie, czarne pudełko. Osiemset. Ignacio zaczął się rozglądać po ścianach i na wpół opustoszałych witrynach. Znalazł inny łańcuch, też chiński, ale lepszej marki, no i za dwieście. Wy tłumaczył mi potem, że dziadek sprowadził go najpewniej z rok temu i zapomniał dostosować cenę do kursu galopującego dolara. I że ludzie tu nigdy nie wiedzą, co mają w sklepach.

Zdaje się, że większość niespożywczych towarów importowanych idzie po cenie dolara z czarnego rynku. Jeśli ktoś kupił wcześniej, gdy boliwar nie był jeszcze tak słaby, podnosi cenę wraz z inflacją, żeby z zysków ze sprzedaży móc w przyszłości uzupełnić braki w magazynie. Natomiast gdy rząd przydzieli jakiejś większej firmie dolary preferencyjne, powiedzmy na AGD, to potem stawia przy sklepie zielonych ludzików z gwardii narodowej, a klienci stoją w kolejce całe dni, żeby kupić pralkę po nie-tak-znowu-skandalicznej cenie. To zresztą nie musi być coś naprawdę potrzebnego, bo po spódniczki Zary czy ciuchy innych drogich marek w cenie preferencyjnej też się stoi po nocach.

Ignacio jest jednym z aktywistów Ciclovías Maracaibo, grupy promującej rowery jako środek transportu. Jest ich garstka: na comiesięcznych przejazdach zbiera się trzydzieści, góra pięćdziesiąt osób, co w dwumilionowej metropolii nie wygląda na imponujące osiągnięcie. Ale jeśli przypomnimy sobie cenę benzyny: pięć boliwarów, czyli kilkanaście groszy za pięćdziesięcilitrowy bak, to te kilkadziesiąt dusz na dwóch kółkach i tak jawi się niczym cud. Ostatnio grupa powiększa się: paliwo jest praktycznie darmowe, ale samochody z importu, więc ich ceny, podobnie jak ceny części zamiennych, dla przeciętnego zjadacza chleba w Wenezueli stają się przy obecnym kryzysie astronomiczne. Za jedną oponę – jeśli uda się ją gdzieś w ogóle dostać – trzeba zapłacić równowartość miesięcznej pensji⁹. Z analogicznych względów rosną ceny komunikacji miejskiej.

Cykliści spotykają się masowo w pierwsze soboty miesiąca. Podczas miejskiego przejazdu stają na skrzyżowaniach na czerwonym i rozciągają przez ulice prorowerowe transparenty. Przez megafon wykrzykują hasła: ekologiczne, prozdrowotne i oszczędnościowe, chociaż do wenezuelskiego społeczeństwa pewnie najbardziej przemawiają te wizerunkowo-radosne: „Kiedyś jeździłem samochodem i byłem gruby i brzydki, teraz używam roweru i jestem już tylko brzydki”. W mniejszych grupach jeżdżą częściej, nawet kilka razy w tygodniu. Dołączam, gdy tylko mogę. Wszyscy się znają, panuje świetna atmosfera. Umawiamy się na wspólne pedałowanie dla przyjemności i ze względów bezpieczeństwa, bo już dwóch czy trzech cyklistów razem nie tak łatwo okraść jak jednego. Najprzyjemniejsze są nocne wyprawy: szerokie, wielopasmowe aleje samochodowego miasta pustoszeją, a nieznośny upał dnia zamienia się w... znośny. Trasa wspólnego przejazdu jest dość krótka, po niej kotwiczymy w jakimś barze, a na końcu przychodzi czas na prawdziwe pedałowanie: jeździmy od domu do domu, odprowadzając każdego pod drzwi. Kolega poczęstuje jeszcze chociaż wodą z cytryną, więc się siądzie na murku przed blokiem czy na osiedlowym boisku. Na odpoczynek, bo miasto jest naprawdę duże: rozłazi się na wszystkie strony po płaskich równinach stanu Zulia.

Cztery rolki papieru

Zasiedziałem się chyba trzy tygodnie. Maracaibo jest znane z upału, śmieci i nieatrakcyjności, czyli było tak, jakbym spędził prawie miesiąc w Radomiu i jeszcze twierdził, że mi się podobało.

Ruszyłem dalej w stronę Barquisimeto. Ponadosiemkielometrowy most nad jeziorem Maracaibo jest zamknięty dla rowerów: zatrzymano mnie na posterunku wojskowym. Kierowca srebrnego pick-upa sam zaoferował się z pomocą i zaraz znalazłem się po drugiej

9) W grudniu 2015 roku mówilibyśmy już o pensji z kilku miesięcy i oponie używanej.

stronie wielkiej wody. Przekonałem się szybko, i z ogromną satysfakcją, że droga za Maracaibo to już nie to samo, co przygraniczny festiwal śmieci i smrodu. Wiekowe chevrolety nie zniknęły, ale w dużej mierze zastąpiły je nowsze konstrukcje, droga poszerzyła się, zyskała asfaltowe pobocze, a niewielkie ilości brudu i odpadków skutecznie schowały się wśród wysokiej trawy.

Został tylko drut kolczasty. Towarzyszył mi na trasie z Meksyku przez całą Amerykę Środkową i Kolumbię. Mimo to nie przestaje mi przeszkadzać, kłuć w oczy i jednocześnie zadziwiać: cały ten kontynent jak długi i szeroki przecina gęsta sieć płotów z drutu kolczastego (tego samego, który zwykle kojarzy się raczej z obozami koncentracyjnymi niż polem kukurydzy) i wplecionych weń gałęzi i słupków. Całe państwa, od wschodu do zachodu, z północy na południe, posiekane są ogrodzeniami. To nawet trudno sobie wyobrazić, że wszystko, nie tylko domy i pastwiska, ale i łąki, nieużytki, użytki, lasy, góry, kamienie i jeziora znajdują się za barierą kłującego drutu. Wrażenie jest piorunujące, ale zastanawia także kwestia praktyczna: ile pracy, pieniędzy i czasu kosztowało postawienie tych wszystkich ogrodzeń? Ile ton metalu wykorzystano, ile tysięcy kilometrów ma drut, który posiekał kontynent na kawałeczki, w których jak w klatkach zamykają się ludzie w obawie przed sobą nawzajem?

W Polsce kultywujemy instytucję miedzy: w formie niskiego wału lub obiektu bez określonej postaci. Podobnie jak drut kolczasty, miedza również oddziela poszczególne posesje i zwykle prowadzi nią ścieżka. Taka miedza jest zaiste całą metaforą: że mianowicie miejsce, w którym spotykają się ludzie, tak jak stykają się odrębne posesje, może być drogą do czegoś nowego, zupełnie tak jak siatka miedzowych drózek rozpościerająca się po horyzont (prowadząc między innymi do lasu na grzyby; dodać należy: do nieogrodzonego lasu na nieogrodzone grzyby). Miedza oznacza, że nie musimy konstruować zasieków z drutu i drewna: wystarczy umówić się, że do miedzy to moje, od miedzy to już twoje, a o gruszki pomiędzy możemy pospierać się wieczorem, gdy wpadnie Rzędzian: „Owóz jak ją Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...”¹⁰. Tymczasem płot i cały ten drut jest wielką kością niezgody, to takie gigantyczne, oplatające cały kraj wotum nieufności człowieka do człowieka, znak, że nie potrafimy się dogadać. Albo że nie ma państwa prawa, szacunku do własności prywatnej, bo jak ktoś ci wlezie na nieogrodzoną posesję, to potem nie ma go jak stamtąd wykurzyć. Poza tym to imponujące marnotrawstwo czasu i środków, które niczego nie konstruuje i do niczego nowego nie prowadzi, a jedynie ogranicza, zamyka i więzi. Całe życie i cały świat widziane przez płot. No a najgorsze, że rowerzyści nie mają gdzie postawić namiotu.

10) Henryk Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*, Warszawa: PIW, 1974.

Ale pierwszej nocy po wyjeździe śpię w domu. Gleana, która przyjęła mnie w Maracaibo, pochodzi z Ciudad Ojeda, gdzie dojeżdżam pod wieczór drogą na południowy wschód. Odnoga prowadząca z głównej trasy do miasta ciągnie się wzdłuż siedzib przedsiębiorstw naftowych. Ich wysokie mury informują mnie, że Chávez i Bolívar mają jedno serce, a dodatkowo, że towarzysz Hugo sam w sobie sercem jest ojczyzny. Chávez, Wyzwoliciel XXI wieku, wszyscy jesteśmy Chávezem, ojczyzna i socjalizm albo śmierć. Od kół roweru odskakują obtłuczone owoce mango, które lecą z drzew jak liście. Babcia Gleany mieszka w piętrowym domu z basenem, liczbą pokoi odpowiednią dla hotelu i wielkim salonem, w którym cały tuzin ciotek, siostr i kuzynek kończy obiad, siorbie kawę i gra w bingo (dopiero potem dowiedziałem się o wyrażeniu *vieja juegabingo* – „stara, co gra w bingo”, jakim określa się osoby uwielbiające doradzać w sprawach, o których nie mają pojęcia). Same baby. Dziadek mieszka z inną kobietą, z którą już dawno założył drugą rodzinę. Ale dom należy do niego, więc nie mogę tu spać, bo jutro przyjeżdża on, znaczy się dziadek we własnej osobie, i moja obecność może mu się nie spodobać. Tak mi przynajmniej powiedziano. Poszliśmy więc z Gleaną do domu jej matki. Ojciec Gleany mieszka z inną kobietą, z którą już dawno założył drugą rodzinę. Dom podzielono jednak na pół, instalując zaimprovizowaną ścianę z dykty. Gleana nie ma męża, chociaż pewnie jakby miała, to mieszkałby z inną kobietą, z którą już dawno założyłby drugą rodzinę. Albo Gleana byłaby *tą inną*.

Za miejscowością El Venado zaczyna się podjazd. I nie będzie wcale oznaką masochizmu, jeśli powiem, że długo na to czekałem. W zasadzie od granicy Panamy z Kolumbią pedałuję po wybrzeżu i okolicach w stałych warunkach: upału i niemiłosiernego słońca. Istnieje nadzieja, że w górach z tych dwóch niedogodności zostanie tylko niemiłosierne słońce: upał zelżeje i chociaż w nocy nie będę się pocił. Wzgórza w tej okolicy są w listopadzie wyjątkowo suche: gałązki drzew i krzewów sterczą sztywno, poruszone drżą jak sprężynki. Jadę wśród tych szkieletowych lasów, ciesząc się z każdego powiewu rześkiego wiatru. Na poboczach sprzedaje się pieczone barany, chociaż większość „złotych biznesów” – palenisk pod daszkiem z bananowych liści czy kawałka falowanej blachy – stoi nieczynna. Góry na horyzoncie wyglądają na nagie i szare jak po pożarze. Rozbijam się na noc w korycie okresowej rzeki. To nie jej czas: wody nie ma i mogę spać spokojnie, chociaż chodzą mi po głowie wizje apokaliptycznej ulewy, która wypełni puste koryto i zabierze mnie gdzieś z nurtem rzeki, znowu w dół, w upały dolin, których tak bardzo mam już dość.

Kupiłem po drodze arepy – wenezuelski chleb. Właściwie są to placki z mąki kukurydzianej: coś w rodzaju meksykańskiej tortilli, ale dużo grubsze, i zawsze ma się wrażenie, że masa w środku jest jeszcze surowa. W Gwatemali i Salwadorze też mają swoje placki, ale



4

- 4 „To był nasz mentor, nauczyciel, on nam pokazał, jak jest naprawdę, nauczył nas, jak działa świat”, z rozdziału *Nauczyciel*. Napis na murze głosi: „Chávez żyje”, i dalej: „Musicie wszyscy być pilni, bo socjalizm albo jest naukowy, albo jest niczym, i to wymaga wiele nauki z wielkim poświęceniem”.
- 5 „Wąską drogę z granicy do Maracaibo opanowały absolutnie i niepodzielnie złomy fordów i chevroletów z lat siedemdziesiątych. Zajmują całą trasę, tak na długość, jak i na szerokość [...]”, z rozdziału *Plamka ropy*.
- 6 „Wygląda to tak, jakby całe Barquisimeto, cały świat w ogóle pozbawiony został kolorów i ciepła, a jedynym źródłem życia pozostawał on, Chávez, niezachwiany w swym uśmiechu i pewności, z gorącym sercem barwy żółtej, niebieskiej i czerwonej”, z rozdziału *Nędznicy*.
- 7 „Jest wtorek, ludzi jak na lekarstwo. Na sterzające z piasku rzędy drewnianych pali nie nadziano dających cień daszków: te idą w ruch w końcu tygodnia i w święta, w Wielkanoc na przykład”, z rozdziału *Nauczyciel*.

Kup książkę

Poleć książkę



5



6



7



- 17 „Wieczorem albo znowu rano schodzę nad rzekę, by sprawdzić, czy te czerwone skały poprzedniego dnia to nie był tylko sen, czy to wszystko jeszcze tam jest – i było”, z rozdziału *Gran Sabana*.
- 18 „Coś mnie wzywało w tamtą stronę: wieczorem wziąłem rower i poszedłem w głąb zieleni, aż do miejsca, z którego nie było widać nic prócz krótkowłosej trawy naokoło. Dopiero tam rozbiłem namiot. Człowiek i przestrzeń, więcej nic”, z rozdziału *Gran Sabana*.
- 19 „Trasa prowadzi przez pustkowienie: przebywa się dziesiątki kilometrów, nie zobaczywszy choćby domu [...]. Te niewiele wiosek, które spotyka się po drodze, przepaliło słońce: domy są wyblakłe, a ciszę popołudnia burzą tylko chłopcy jadący motorami z domu do sklepu i z powrotem, natomiast sklepy są z tych, co to mają wszystko od kasków po waniliowe ciastka”, z rozdziału *Polowanie na krokodyla*.
- 20 „Powitał mnie niesamowity poranek: słońce wstawało powoli w fioletowej, magicznej mgle, w której rysowały się czarne gryzmoły krzaków”, z rozdziału *Morichalito*.
- 21 „Ziemiście szczyty piętrzące się dookoła obrastają żółtawe trawy. Wśród nich zieleni się terakota kwadratowych poletek poprzedzielanych ornamentem niskich kamiennych murów. W dolinach i wypłaszczeniach powrzucono garści domków, z których wychodzą rano cisi, górscy ludzie o czerwonych gębach, by siać i zbierać”, z rozdziału *W górach jestem szczęśliwy*.

Kup książkę

Poleć książkę

Kup książkę

Poleć książkę

Oceń książkę



**Księgarnia
internetowa**



**Lubię to!
Nasza społeczność**

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion



Upały, mango i ropa naftowa to wszechstronna opowieść o Wenezueli. Wojciech Ganczarek podejmuje się ambitnego zadania, by w jednym tekście zmieścić gospodarkę i kulturę, mieszać muzykę z pejzażami, a historię ozdobić anegdotami z barwnej codzienności. Jak głosi przedmowa, w książce „socjologiczne teorie przeplata wilgoć deszczu i smak kakao”. Mnogość różnorodnych informacji naturalnie wkomponowuje się w relację z wielomiesięcznej podróży rowerowej autora po Wenezueli w dobie ostrego kryzysu. W sklepach brakuje podstawowych produktów żywnościowych, papier toaletowy jest na wagę złota, a przestępczość bije światowe rekordy. W kryzysowej rzeczywistości piętrzą się paradoksy, a w nich jak w lustrze — jasno i wyraźnie — odbijają się fundamentalne cechy kraju i jego mieszkańców. Dodatkowo wgląd w historię pozwala na dogłębne studium duszy wenezuelskiej i — ogólniej — latynoamerykańskiej. Zdecydowanie ***Upały...*** zadowolą wszystkich tych, którzy pragną nie tylko poznać, ale i zrozumieć.

Patroni medialni:

PODRÓŻE peron4.pl kontakt

 **Bezdroża**

 Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
❖ <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
❖ <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
❖ <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-283-3248-5



9 788328 332485